Piękny dzień. Mroźny, pizga nieziemsko. Jak na listopad to nie mogę wprost uwierzyć, że może być aż tak zimno. Zimowe niebo, szary błękit i w południe razi słońce, łyse drzewa go nie zasłonią, a budynki ustawiły się specjalnie tak, żeby ani na sekundę nie przynieść ulgi przekrwionym oczom. Tłum pędzi przed siebie, rwąca rzeka ciał, i ja w samym jej środku, kropla. Młoda dziewczyna mija mnie, podskakując zapewne w rytm muzyki. Jednak w bajkach nie kłamali, że można rozświetlić dno oceanu światłem pochodni. Teraz to rozumiem. Podskakuje i śpiewa, otwiera usta, ale nie mogę nic usłyszeć. W rzece nie rozchodzą się dźwięki, jak może tego nie wiedzieć? Niezrażona, z tym samym entuzjazmem, stara się wykrzyczeć swoją radość. Jak może być tak nierozsądna... Chcę ją ostrzec, że utonie, zachłyśnie się, wypłynie na brzeg blada i zimna. Idę w jej stronę, ale jest zbyt gęsto i zbyt rwąco, prąd mnie porywa, a ona odbiega w swoją stronę. Wspinam się na palce, oglądam za siebie, chcę wiedzieć, czy da sobie radę. Ale jakiś gruby skurwysyn wpada wprost na mnie swoim wielkim cielskiem, aż tracę równowagę, tłukę się o beton. Gnój nie raczy spojrzeć pod nogi, rozdeptuje moją rękę i odchodzi. Podbiega młody łysol, wyciąga dłoń, kiedy jestem na nogach odchodzi bez słowa. Spodziewałbym się od niego kosy między żebra, a nie bezinteresownej pomocy. Czyżbym również był niewolnikiem stereotypów?

Istnieje ograniczona pula radości. Jest to stała, niezmienna wartość. Przez tysiąclecia na Ziemi było nieporównywalnie mniej ludzi, i każdemu dostawał się większy kawałek. Teraz za jednego szczęśliwego dupka płaci setka smutnych pechowców. Dlatego całe miasta wypełnia odór łez. Właściwie nie tyle zapach, to się odbiera zupełnie innym zmysłem. To jest mieszanka. Widzisz starucha z wyżłobioną skórą, resztką włosów, ciągnącego za sobą własne nogi, bo do przodu pcha go tylko siła woli, albo strach przed śmiercią. Widzisz go, i czujesz ten pieprzony smród wyraźniej niż kiedykolwiek, bo facet jest jego największym źródłem na całym Bożym świecie. Nie węchem, tym czymś, tym ukrytym czymś odbierasz całą gamę bodźców - śmierć żony, córki, rak kości, żylaki, alergia na kota, którym musi się teraz zająć, bo jego pierworodna w niebie się ucieszy, że tygrysek nie trafi w łapy gówniary wyrywającej garściami sierść z grzbietu. Może dzięki temu, że dziad już nie jest fizycznie w stanie się uśmiechnąć, ja miewam dobre dni. Gość już nie czerpie ze swojej puli. A może każdemu w pewnym momencie życia kończy się limit. Tego nie wiem, psia mać, nie wiem tego, a nie lubię nie wiedzieć. W każdym razie, na ulicy czuję się jak na pogrzebie, i należę do tworzących tą pocieszną atmosferę. Jestem tą atmosferą, od stóp po czubek głowy i po każdy włos wznoszący się ponad niego.

Zapomniałem dokąd zmierzam.
Gówno prawda, wcale nie. Ciężko jest mi przyznać przed samym sobą, że łażę bez celu. Nawet kiedy to oczywiste jak Bóg, ciężko mi się przyznać. Bo wstyd być aż tak samotnym, żeby kurwa musieć sięgać po mapę, odnajdywać kwadrat oznaczający mój dom, linijką odmierzać kolejne ulice, zapisując przy okazji na strzępie gazety ich nazwy. Sześć kilometrów, optymalny dystans, musi zatoczyć koło albo dobrnąć do przystanku. Idę powoli, jeżeli tylko mam wystarczająco dużo swobody. Otoczony przez przeciętniaków, a każdemu z nich wmawiano, że jest wyjątkowy, każdy z nich kiedyś w to wierzył, prawie każdy przestał. Tylko wyjątkowi ludzie mogą do śmierci wierzyć w swoją wyjątkowość. I spotykam takie osoby. Nie widzą mnie, tak jak ja nie dostrzegam żuka, z podziwem oglądającego podeszwę buta, która po chwili go miażdży. Gromada żuków prze do przodu.

Podobno można się zakochać w dwie minuty. A ja nie zakochałem się przez całe życie. Kiedyś grałem w ósemkę, kilka metrów dalej stała dziewczyna, a jej widok mnie olśnił. Podszedłem, trzymając za nadgarstek pocałowałem jej szyję. Jasne, kurwa, oczywiście, że tego nie zrobiłem. Spojrzała na mnie i nawet się uśmiechnęła, tylko nie zauważyłem, czy z ironią czy litością. To była jakby bogini. Pochyliłem

się nad stołem, ostre cięcie połówki do środkowej, weszło. Później jechałem pociągiem. Zapłaciłem za bilet dokładnie tyle samo, co fiut trzymający szpargały na siedzeniu obok siebie, a jednak musiałem stać. Tuż na wprost drzwi. Po drugiej stronie szatynka, właścicielka najpiękniejszych ust, kilka razy złapała mój wzrok, ćpała muzykę, jak ja, i patrzyła w dół, uniosła nagą od ramienia rękę, muskała ucho opuszkami palców, później szyję, powolnym ruchem, oaza spokoju i namiętności, opuściła dłoń a mi mocniej zabiło serce, bo widziałem siebie gładzącego jej uda równie spokojnie i delikatnie. Wysiedliśmy na jednym przystanku, uciekłem jak tchórz, którym byłem. Nie ma najmniejszej pierdolonej szansy, że zobaczę ją jeszcze choć jeden, kurwa, raz. A teraz? Znikąd pojawia się anioł, przelatując obok pozwala poczuć swój zapach. I znika. Tak w skrócie. Nigdy się nie zakochałem, bo nie umiałem porozmawiać z żadną z nich. Nie zakochałem się przez całe życie, bo nagle zauważyłem wariata gnającego na złamanie karku, jechał wystarczająco szybko, a akurat chciałem się znaleźć na drugiej stronie, więc wszedłem na jezdnię, nawet trzeźwy nie zdążyłby zareagować, nie było dużo krwi, upadłem ładnie na plecy, i jak ktoś bardzo zmęczony tkwiłem w bezruchu, zwracając tym samym może ciut do puli, z której mi pożyczono aż do dziś, i niezauważenie wyparowuję, bo jak rzeka mogłaby dostrzec stratę jednej kropli?

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Speak2Me, dodano 16.11.2011 09:19

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.